Nr. 6. We Lwowie dnia 10. lutego 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

W OBRONIE ROZUMU.

Jeden z literatów zagranicznych napisał do znakomitego autora rosyjskiego, hr. Lwa Tołstoja, z zapytaniem na temat stosunku rozumu do religji. Tołstoj odpowiedział listem, w którym staje otwarcie za wszelkiemi przywilejami rozumu i zupełną dla wszystkich swobodą rozumowego badania wszelkich rzeczy. Zdanie tego może najbardziej chrześcijańskiego z pomiędzy chrześcijan, chociażby się może ktoś nie na wszystko w niem godził, odbija żywo od haseł tych, co stojąc wrzekomo pod sztandarem chrześcijanizmu, radziby ograniczyć jak najbardziej prawa rozumu, dlatego, że za rozumem idzie wola, za wolą wolność, a oni właśnie do tego dopuścić nie chcą, gdyż religja dla nich jest tylko pośrednim środkiem do ugruntowania przewagi klas możnych, środkiem do ugruntowania autokratyzmu.

Oto list Tołstoja w całej rozciągłości:

»Pytasz mnie pan: 1) Czy ludzie, nienależący do bardzo wybitnych umysłów, powinni wypowiadać pojęte przez siebie prawdy życia wewnętrznego? 2) Czy warto dążyć do zupełnego poznania swego wewnętrznego życia? i 3) dokąd mamy się zwrócić w chwilach walki i niepewności, aby poznać, czy w nas się odzywa w istocie sumienie, czy powstała z naszej słabości refleksja?

»Te trzy pytania — mojem zdaniem — schodzą się w drugiem z nich; ponieważ jeśliby nie trzeba było dążyć do zupełnego poznania swego wewnętrznego życia, wtedy też niepotrzebaby było wypowiadać słowami zbadanych przez siebie prawd, (co zresztą byłoby niemożliwem) i wtedy też w chwilach niepewności nie miałoby się dokąd zwrócić, aby poznać, czy w nas odzywa się sumienie, czy fałszywa refleksja.

»Skoro jednak powinno się dążyć do świadomości, jaka tylko możliwą jest ludzkiemu rozumowi (bez względu na jego siłę), a więc również powinno się wyrażać słowami zdobyte przez siebie prawdy i kierować się w chwilach walki i niepewności właśnie temi prawdami, które doszły zupełnie do naszej świadomości i które się w słowach sformułowało.

»I dlatego to na pierwsze z pańskich pytań odpowiadam potwierdzająco, mianowicie, że każdy człowiek dla spełnienia swego przeznaczenia na ziemi i zdobycia prawdziwej szczęśliwości (co jest jedno i to samo) powinien mieć zawsze wszystkie siły swego rozumu wytężone, aby samemu sobie wyjaśnić owe religijne podstawy, na których się opiera jego życie, t. j. wyjaśnić istotę swego życia.

»Zdarzało mi się nieraz widywać robotników ciemnych, którzy nie umieli ani czytać, ani pisać, a którzy musieli przeprowadzać pomiary objętości, owoż powszechnem było wśród nich mniemanie, że obliczenie matematyczne jest zwodniczem i że niepodobna mu wierzyć. Przyczyną może było to, że nie umieli matematyki, a może, iż ci ludzie, którzy ją umieli, rozmyślnie czy też przypadkowo często ich oszukiwali. Mniejsza o to, dość, że zdanie o niedołęstwie matematycznych obliczeń utrwaliło się wśród niepiśmiennych robotników, a dla wielu stało się niezachwianym pewnikiem, o którego prawdziwości nawet innych przekonać usiłują. Takie samo mniemanie istnieje też wśród ludzi, śmiało powiem, niereligijnych... mniemanie, że rozumem nie można rozstrzygać spraw religijnych, że zastosowanie rozumu przy tego rodzaju kwestjach, bywa główną przyczyną błędów, że więc usiłowanie rozwiązania zagadnień religijnych przez rozum jest objawem karygodnej pychy.

»Mówię o tem dlatego, że wyrażone w pańskich pytaniach powątpiewanie: czy powinno się dążyć do poznania w zakresie swoich religijnych przekonań, może się opierać na takiem tylko przypuszczeniu, mianowicie na tem, że nie powinno się używać rozumu do rozwiązywania kwestji religijnych. A tymczasem takie przypuszczenie jest równie dziwne i równie stanowczo fałszywe,

jak przypuszczenie, że kwestji matematycznych nie można rozwiązywać obliczeniami na papierze.

»Człowiekowi Bóg dał jeden tylko środek do poznania siebie i swego stosunku do świata — innego środka niema — a jest nim rozum. Aż tu naraz powiadają mu, że tego rozumu może używać do załatwiania swoich spraw domowych rodzinnych, artystycznych, ale tylko nie do rozjaśnienia tego, poco mu on danym został. Powiada się, że człowiek dla rozjaśnienia najważniejszych prawd nie powinien używać rozumu, podczas gdy człowiek bez rozumu nic poznać nie jest w stanie. Powiada się: poznawaj wiarę przez objaśnienie, a tymczasem człowiek bez rozumu nie może też wierzyć. Jeżeli człowiek wierzy w to, a nie w tamto, to tylko dla tego, że rozum mu powiada, że się w jedno wierzyc nie powinno, w drugie zaś powinno. Mówić że nie trzeba się powodować rozumem, jest to samo, co człowiekowi, który w podziemnym ciemnym chodniku niesie lampkę w ręku, powiedzieć, że, aby wyjść z podziemia, aby właściwą drogę znaleźć, powinien zgasić lampke i nie kierować się światłem, tylko czemś innem.

Może jednak ktoś zechce utrzymywać, jakto zresztą już pan w swoim liście czynisz, że nie wszyscy ludzie obdarzeni są wielkim rozumem i specjalną zdolnością wyrażania swoich myśli, że więc niemożebność wyrażenia myśli o religji, prowadzi do błędu. Na to odpowiem słowami ewangelji: »Co zakrytem jest dla mędrców, to odkrytem zostało prostaczkom«.

To zdanie nie jest wcale przesadą, ani paradoksem, jak się mówi zwykło o zdaniach z ewangelji, nie przypadającym nam do gustu, lecz jest to potwierdzenie najprostszej i niewątpliwej prawdy, potwierdzenie tego, że każdej istocie na świecie danem zostało prawo, którego ona przestrzegać musi i każdej istocie danemi zostały środki do poznania tego prawa. I dlatego każdy człowiek, posiada rozum, a w nim każdy człowiek ma danem prawo, którego musi przestrzegać. Ukrytem jest to prawo tylko dla tego człowieka, który go przestrzegać nie chce; ażeby tego prawa nieprzestrzegać, przeczą tacy ludzie rozumowi i zamiast używać rozumu, danego im dla poznania tej prawdy, posługują się przyjętemi ze ślepą wiarą wskazówkami ludzi, którzy również rozumu się wyrzekają.

»Prawo, którego człowiek ma przestrzegać, jest tak jasnem, że każdemu dziecku jest dostępnem tembardziej, że człowiek tego prawa nie musi nanowo odkrywać. Ludzie, którzy przed nim żyli, odkryli i ujęli je w wyrazy, a człowiekowi wystarczy tylko zbadać i przyjąć lub nie przyjąć owych zasad, które sformułowane przekazuje mu tradycja, t. j. nie potrzebuje, jak to radzą ludzie, którzy prawa wypełniać nie chcą, rozumu kontrolować tradycją, lecz przeciwnie tradycję kontrolować rozumem. Tradycje mogą pochodzić od ludzi, mogą więc być fałszywemi, ale rozum pochodzi od Boga i fałszywym być nie może. I dlatego aby dójść do świadomości i aby dać wyraz prawdzie, nie potrzeba wcale jakichś wybitnych zdolności, ale poprostu wystarczy wierzyć, że rozum jest nietylko wyższym boskim przymiotem człowieka, ale także jedynym środkiem do poznania prawd. Szczególny rozum

LETKIEWICZ.

SYLWETKA

PRZEZ

KLEMENSA JUNOSZĘ.

(Ciąg dalszy.)

— Ja słyszałem — rzekł jurysta, — że Mendelblat chciałby kupić Pisankę dla siebie.

Aronek aż odskoczył.

— Co? Ja, — rzekł, — mogę się pochwalić, że jestem trochę jego krewny, bywam u niego prawie codzień, faktoruję mu bardzo często...

— Więc cóż to znaczy?

— To dużo znaczy, to znaczy, że ja mogę zaręczyć, jako Mendelblat dotychczas jeszcze, chwalić Boga, nie jest warjat. On ma swój handel, swoje interesa, swój dom; on sobie żyje wygodnie, on jest pan... Taki nie kupi Pisanki, ani Woli, ani żadnego folwarku... To nie jego interes. Fe...

— Ale odchodzimy od przedmiotu. Powiedz-że nam, tylko szczerze, bo nas to interesuje, czy pan Stanisław jest bardzo zaszargany w interesach, czy nie?

Żyd pomyślał przez chwilę...

— Dla czego ma być zaszargany? My wiemy, ile ma dochodu, wiemy, ile wydatku... On nie traci... chyba czasem kilka rubli tu w tym sklepie, z panami... Prócz tego wydaje kilkaset rubli rocznie.

— Na co?

— Otóż właśnie, że i ja tego nie wiem. Może składa, może kupuje listy, dość że te pieniądze gdzieś giną. Że one nie zostają w mieście, to ja wiem doskonale — a dokąd idą... zgadnąć nie mogę... Może kiedyś, tymczasem nie wiadomo Kłaniam panom, muszę szukać starszego pana z Woli. . o ten rzepak. Kupca już mam. Jak który z wielmożnych panów kupi kiedy majątek, a będzie miał do zbycia rzepak, to proszę pamiętać o Aronku. Niema w całem mieście takiego mechanika na rzepak, jak ja jestem, a na pszenicę i na wełnę też, nie chwaląc się, że na owies, jęczmień, kartofle, okowitę, chmiel to także nie ma dwóch, ani trzech Aronków — tylko jest jeden Aronek żydek — aber git...

— Mamy nitkę! — rzekł jeden z biesiadników...

— Szukajmy kłębka, — dorzucił drugi...

— Niema co mówić, sprytnie się bestja urządza... O tem tylko nieborak zapomniał, że szydło w worku ukryć się nie da na żaden sposób.

i szczególne zdolności w potrzebie nie do poznania i wyrażania prawd, ale do wymyślania i wyrażania kłamstw.

»Raz odstąpiwszy od wskazówek rozumu, przestając weń wierzyć, za to wierząc w to, co za prawdę bywa podawanem, ludzie zbierają i ze ślepą wiarą przyjmują jako prawa, objawienia, dogmaty, takie skomplikowane, nienaturalne, pełne sprzeczności tezy, że aby je objaśnić i wmówić w siebie i w ludzi, potrzeba wistocie niezwykłego sprytu umysłowego i niezwykłych zdolności. Trzeba sobie tylko wyobrazić człowieka naszych czasów, wychowanego na podstawie religijnej któregoś z wyznań chrześcijańskich, katolickiego, prawosławnego czy protestanckiego, który zasad religijnych, wpojonych mu w dzieciństwie, nie chce sobie wytłumaczyć i doprowadzić ich do harmonji z życiem... Co za skomplikowanej pracy duchowej musi użyć, aby pogodzić wszelkie sprzeczności, które ma wszczepione ze swojem wyznaniem: Bóg-Stwórca i Zbawiciel stworzył zło, karze ludzi i domaga się pokuty itp. lub to, że my przyznajemy się do przykazań miłości, a prowadzimy wojny i zabieramy biedakom ich własności itd. itd.

»Do uporządkowania tych nierozwiązalnych sprzeczności, lub raczej do ukrycia ich przed samym sobą, potrzeba wiele rozumu i szczególniejszych zdolności; ale do tego, aby prawo życia swego poznać, lub używając innego wyrażenia, dójść do poznania swojej wiary, na to nie potrzeba szczególniejszego uzdolnienia. Nie potrzeba jedynie dopuszczać niczego, coby było w sprzeczności z rozumem, rozumu nie zaprzeczać, rozumu swego strzedz religijnie i tylko weń wierzyć. Skoro istota życia człowiekowi staje się nie jasną, wtedy nie jest to dowodem, że rozum do jej rozjaśnienia nie dorósł, ale że się wierzy w zbyt wiele rzeczy niedorzecznych, trzeba więc wszystko odrzucić, czego rozum nie potwierdza.

»Dlatego odpowiedź moja na pańskie pytanie, czy należy dążyć do poznania swego wewnętrznego życia, jest następująca: że jest to najkonieczniejsza i najważniejsza działalność życia naszego. Konieczną i ważną jest dlatego, że jedyny rozsądny cel życia naszego jest w spełnieniu woli Boga, który nas przeznaczył do tego życia. Wolę boską poznaje się nie po jakichś nadzwyczajnych cudach, nie w ustawach pisanych palcem bożym na tablicach kamiennych, lub przez nietykalne księgi, pisane przy pomocy Ducha św., lub przez nieomylność jakiejś świętej osoby, albo jakiegoś zgromadzenia ludu! — lecz tylko przez działalność rozumów wszystkich ludzi, którzy czynem i słowem udzielają sobie poznania coraz to jaśniejszej dla nich prawdy. To poznanie nigdy nie będzie doskonałem i nigdy niem nie było, lecz zwiększa się zawsze wedle miary ruchu wśród ludzkości i im dalej toczy się życie nasze, tem wyraźniej poznajemy wolę bożą, a co za tem idzie, to, co czynić musimy, aby ją wypełnić.

»Dlatego to wierzę, że rozjaśnianie wszystkich dostępnych religijnych prawd przez każdego człowieka (chociażby on sam siebie i inni go uważali za niewiedzieć jak małego, bo zresztą

— Tak — o tem, że wiedzą sąsiedzi, jak kto, panie tego, siedzi...

— Kombinując różne okoliczności, nie trudno przyjść do wniosku...

— Za często bywa w mieście...

— Stanowczo za często...

— Toby jeszcze nic; bywają przecież i inni, ale tych innych się widzi. Miasteczko nasze jest jak latarnia; przyjeżdża naprzykład ktoś, dajmy na to X. Spytaj pierwszego lepszego żydka, czy jest pan X? — a odrazu wyrecytuje: »Wyszedł z hotelu o dziewiątej, był w hypotece, później w cukierni, umawiał się ze Szmulem o zboże, ztamtąd poszli do hotelu, robili kontrakt, później był na obiedzie w restauracji, teraz jest w sklepie, kupuje żelazo. Jeżeli pan dobrodziej chce go widzieć, niech się pan spieszy, bo już kazał zaprzęgać i za pół godziny wyjeżdża«... prawda?

— A no, bezwątpienia...

— I tu właśnie leży pies, — rzekł jurysta uderzając palcem w stół... Niech-że mi kto powie, gdzie teraz jest nasz kochany Staś?...

— Aha... spytaj go, gdy wróci..

— Bądź co bądź, szkoda chłopa, — dorzucił doktór, — tego rodzaju stosuneczki nikomu na dobre nie wychodzą.

— Naturalnie...

Zaczęła się szeroka dysputa, przyjaciele nie szczędzili wyrazów ubolewania i sympatji, dla wietrznika, który ostatecznie dobry chłop jest... tylko chwilowo wpadł na bezdroża. Zdarzało się to zresztą i zdarza najpoważniejszym obywatelom, ale ci umieli i umieją jakoś zachowywać pozory; Stach je lekceważy, wyzywa po prostu opinję i sam sobie gotuje nieszczęście.

O prawdziwości faktu nikt nie wątpił, bo jakże, skoro wszyscy domyślają się, że tak jest, to oczywiście jest.

Z powodu generalnego ubolewania nad lekkomyślnością przyjaciela wychylono trzy butelki nad program i posiedzienie przeciągnęło się o parę godzin dłużej, niż zwykle.

Przypominano sobie rozmaite szczegóły, a że przy kieliszku fantazja bywa bujniejsza, przeto znaleźli się i tacy, którzy mogli zakomunikować zgromadzeniu ciekawe i nader zajmujące szczegóły, o powierzchowności tajemniczej osoby. Wywiązała się nawet z tego powodu sprzeczka, bo jeden z przyjaciół pana Stanisława utrzymywał, że na własne oczy widział brunetkę, krępą, nizkiego wzrostu; drugi zaś dowodził, że była to blondynka wysoka o prześlicznej figurze.

mali nieraz właśnie bywają wielkimi) i wyrażanie ich w słowach (gdyż wyrażanie w słowach jest jedynym niewątpliwym znakiem zupełnej jasności myśli) jest jednym z najważniejszych i najświętszych obowiązków człowieka«.

Urywek z dziennika.

[Ciąg dalszy].

— W sobotę czekamy na herbatę — mówił naczelnik.

Młodzieniec, ogłuszony tym niespodziewanym zaszczytem, bąka coś niewyraźnie.

— A tymczasem — kończy tamten — wygotujesz mi pan ten papier.

Na twarz urzędniczka wybuchają płomienie.

— No, no, nie odmówisz mi pan przecie — i ściska jego rękę. Widzę, jak ręka ta drgnęła i słyszę jednocześnie wewnętrzny głos młodzieńca, kotłujący mu w piersiach z oburzenia.

»Podłości chcesz — podłości wymagasz odemnie!«

— Panie naczelniku — odzywa się jednak nieśmiało — istotnie, sam nie wiem...

— Wiesz, wiesz — i zrobisz. Nie chcę myśleć, abyś mi miał odmówić.

I słyszę przytem głos jego myśli:

»Nie możesz odmówić: ja wyrwałem cię z nędzy, gdy przychodziłeś do mnie o chleb codzienny kołatać, ja cię — jeśli zechcę — wyżej jeszcze i lepiej mogę postawić«.

A głos młodego wrzy dalej:

»Przekupstwa żądasz odemnie, odemnie, com dotąd żadnego kroku ku nieprawdzie nie dał! Czarny jesteś — i mnie za sobą w błoto chcesz ściągnąć«.

A głośno:

— Może czem innem mógłbym panu naczelnikowi usłużyć? W każdym innym razie jestem na rozkazy pana naczelnika.

— No, no, pomówimy o tem w swobodniejszej chwili — przerywa naczelnik i w głosie jego brzmi wyraźnie nutka niezadowolenia zwierzchnika.

Urzędniczek rozumie tę nutkę. Robi mu się zimno i gorąco. Wszakże w tej chwili uprzejmej rozmowy ryzykuje dobrobytem swego gniazda, spokojem swej młodej ukochanej żony, przyszłością małego syna... Wszakże jest on tylko skromnym, zupełnie nędznym pionkiem w ręku wysokiego urzędnika — i nadto jest muchą, złapaną we wszystkich ośmiu łapach pająka. Pot występuje mu na czoło; czuje, że to straszne, wiecznie grożące, czego się bał i strzegł dotąd, nadchodzi, nadchodzi z niepowstrzymaną mocą, przed którą ujścia niemasz...

Nigdy dotąd nic w życiu nie poruszyło mię tak boleśnie. Nie z oburzeniem już, a z bólem dojmującym i piekącą łzą pod powieką, uciekałem od tego widoku.

Gdy znalazłem się na ulicy, narazie sam nie wiedziałem, dokąd mam się udać. Potrzebowałem

---

Tak czy owak fakt, że Letkiewicz trochę za dużo sobie pozwala, został przez zgromadzenie skonstatowany, a nazajutrz wiadomość o nim nie była już tajemnicą dla miasta. Obiegłszy cukiernie, restauracje i wogóle wszelkie miejsca zebrań publicznych, dostała się w znacznie powiększonych rozmiarach do domów prywatnych, zkąd dotoczyła się aż pod rogatki, do dworku pani Adamowej.

Dwie przyjaciółki podały ploteczkę w sposób nader uroczysty, z początku w półsłówkach, dla tem większego zaciekawienia, wreszcie bez obsłonek, w całej grozie.

Zacna matrona aż się poruszyła na fotelu, aż upuściła trzymaną w ręku łyżeczkę..

— Okropna to historja, — rzekła, — ale dla mnie bynajmniej nie jest niespodzianką. Ja to oddawna przeczuwałam, domyślałam się. Zawsze letkiewicz! Biedna Andzia, biedne dzieci! Jaka przyszłość je czeka... Słusznie nieboszczyk mój Adaś, świeć Panie nad jego duszą, mawiał, że są ludzie, a raczej są dzieci, zdradzające od najmłodszych lat najgorsze skłonności. Święta prawda, ten chłopak właśnie był z tego gatunku; źle mu z oczów patrzyło, zawsze źle... a ja nieraz mawiałam i do męża i do Ireny i do Wincentego: przekonacie się, że Stasiek źle skończy.. I sprawdza się to, sprawdza.

— — — — — — — — — — —

Kiedy w dusznej i zadymionej izbie po za sklepowej, odbywała się sesja kondolencyjno-oskarżająca, kiedy badano Aronka, a następnie ubolewano nad losem lekkomyślnego Stacha, ten znajdował się w mieszkaniu swego przyjaciela, w zabudowaniach fabrycznych, na przedmieściu.

Przywitali się serdecznem uściśnieniem.

— Jakże Stachu, — zapytał odrazu pan Konstanty, — jakże z twoim kłopotem?

— Załatwiony. Sprzedałem trochę zboża, znalazłem amatora na konie, uregulowałem zaległy procent i mam spokój — a przecież i ze zbiorów coś będzie.

— Bo widzisz, — rzekł technik, — ja byłem w obawie o ciebie, nawet mi to sen odbierało i wycofałem z banku swoje oszczędności?

— Na co?

— Dla ciebie...

— Niech ci Bóg płaci, mruku! Jakie ty masz złote serce!

— Nie dla każdego... Chcesz, bierz — w biurku leżą...

przedewszystkiem jakiejś zmiany miejsca, ludzi, obrazów; całkowitej przemiany wrażeń, któraby kazała zapomnieć o przeżytych dopiero co godzinach. O powrocie do domu pomyślałem z przestrachem — wolałem iść przed siebie na chybił trafił, przedewszystkiem, aby powietrze świeże mię owiało.

Jakoż rzeczywiście w miarę ruchu przykre myśli opuszczać mię zaczynały i świat jakoś nie tak czarno zdawał się wyglądać. Na skręcie jednej z ulic z prawdziwą przyjemnością spostrzegłem z daleka popielaty kapelusz i podjętą głowę Olka. Poczciwy ten chłopiec ze swoją naiwną wieśniaczą duszą wywołuje zawsze we mnie wrażenie czegoś tak mile świeżego i zdrowego, jak zapach boru. Wydaje się, jakgdyby przywoził ze sobą do miasta falę wiejskiego powietrza. Dziś, w mojem rozdrażnieniu bardziej mi był w porę, niż kiedy.

Po powitaniu i wstępnych zapytaniach postanowiliśmy udać się do Czerskiego. Pomysł był dobry, wrażenia bowiem dzisiejszego ranka zagłuszyły we mnie nietylko apetyt i pragnienie, ale zatarły wszelką myśl o nich.

U Czerskiego znaleźliśmy kilku z naszych. Dopijali ostatnich kieliszków i wiedli zawziętą dyskusję. Przyjście nasze powitano wesołymi wykrzyknikami. Przy znanym stole, wśród znanych ludzi, przy znanej służbie poczułem się bardzo przyjemnie. Nie brakowało nawet naszego staruszka od stolika pod oknem. Jak zwykle po za filiżanką kawy trzymał rozłożoną gazetę, ale słuchem, również jak zwykle, był z nami.

Biernacki niemiły ma sposób dowodzenia aksjomatami. Może to ciągła praca prawnicza i przestawanie z artykułami kodeksów wyrobiło w nim ten ton dyskutowania pewnikami niezbitemi ma się rozumieć w jego własnem przekonaniu. Nikt się tak często nie myli, jak ci, co raz utknąwszy na jakimś wyrobionym we własnej myśli pewniku, przyjmują go za aksjomat i dzwonią nim przy każdej zręczności nie dopuszczając, Boże strzeż, żadnej podrywającej go ubocznej myśli. Oni się nie mylą, oni mylić się nie mogą — to, czego dowodzą, jest dowiedzionem ściśle, logicznie, i każdy, kto sądzi inaczej, rozumować nie umie i nie zdoła; szkoda tylko, że droga ich własnego wnioskowania bywa nieraz mylną. Do absurdów nieraz dochodzą, jadąc na tej nieszczęśliwej logice, na odpowiedzialność której tyle grzechów się zsyła!

Oto właśnie Biernacki oparty plecami o poręcz krzesła, z rękami w kieszeniach, podnosząc głos brzmiący wielką pewnością siebie, wygłasza pewniki jasne, jak słońce i niezachwiane, jak firmament niebieski.

— Niemożebnem było, abyśmy się utrzymali — kończy przemowę — powstania, niepowstania nic tu nie pomagały, ani przeszkadzały. Granic naturalnych nie mieliśmy, ot i wszystko! Granic przedewszystkiem — a powtóre byliśmy nie jednolitą narodowościową masą, a aglomeratem kilku różnych grup etnograficznych... — I czarno na białem, posługując się szeregami cyfr statystycznych wyliczać począł zapłynięcie nas nieswojskiemi żywiołami, a z drugiej strony naturalną zupełnie pożądliwość i całko-

---

— Kiedy już nie trzeba. Dziękuję ci z całej duszy — dziękuję...

— Jak chcesz, ale w razie wypadku pamiętaj, że tu mieszkam.

— Wierz mi, że ile razy jestem w mieście, nigdy nie omijam twego domu.

— Bo tak być powinno, rzekł pan Konstanty, — a po chwili dodał:

— Ja ci jednak zazdroszczę, Stanisławie!

— Czego?

— Siły... bo ty silny jesteś...

— A czyż ty siły nie masz?

— Mam, wiem o tem, ale moja siła w lichszym gatunku, bo jest jakaś ponura. Ty się z losem godzisz, a ja bym go, rzeknę, łamał, gdy mi zapory stawia — jabym go gryzł! Ty dźwigasz ciężar z uśmiechem, ja ze zmarszczonem czołem, nieraz z klątwą.

— I straciłbyś zęby, — rzekł śmiejąc się Stanisław.

— Prawda, prawda, ale cóż poradzić, gdy kto ma taki temperament, taki charakter? Nazywają mnie mizantropem, nieprzyjacielem ludzi; ty jeden wiesz, że to nieprawda... że pragnąłbym jak najlepiej dla wszystkich... Choćby w tej fabryce, ja dla ich dobra chcę pracować, a oni nie mogą, czy nie chcą poznać się na tem i trują mnie swoją niechęcią. To gorzko... Rozgadałem się i powtarzam, że ci zazdroszczę tej przedziwnej pogody, jaką masz w duszy. Zkąd ty ją bierzesz, Stachu, z jakiej ją szkoły wyniosłeś?...

Letkiewicz pogładził wąs jasny i rzekł:

— Ze szkoły życia, przyjacielu, ona nauczyła mnie być pobłażliwym i stosować do ludzi właściwą skalę wymagań. Nie z samych bohaterów świat się składa, lecz z ludzi; mało, bardzo mało jest piersi na Fidjaszową miarę, a masa wątłych, szczuplutkich, na zwyczajną — krawiecką... Kochaj tych cherlaków, czyń im dobrze, o ile możesz i nie wymagaj od wróbla, aby szybował po przestworzach powietrznych, jak orzeł; nie mierz kota miarą lwa, a nie będziesz doznawał rozczarowań i zawodów, oszczędzisz sobie wiele przykrości. Zniechęcasz się do ludzi, którym chcesz dobrze czynić, bo oni cię nie rozumieją, masz ich za niewdzięczników, za zbrodniarzy niemal, a oni są tylko słabi umysłem i nierozwinięci. Zapatruj się na nich z innego stanowiska, a i sąd inny wypadnie: nie będziesz nimi pogardzał, ani nie uczujesz do nich nienawiści... Tacy są, bo innymi być nie mogą. Oto i wszystko, jaki jest mój sposób widzenia... (Dok. nast.).

witą łatwość zaspokojenia pożądań ze strony lewej i prawej, za nami i przed nami.

Karol, któremu, jak zwykle przy sporze, czupryna już dębem stanęła, odcinał się zrazu dowodzeniami bardziej jaskrawemi, niż poważnemi, w końcu jednak zirytywany, z palcami we włosach, haust za haustem przełykał z kieliszka, nie chcąc odpowiadać. Inni, nasza »brać młodsza«, dawno po sobie uszy pokładli i jak w tęczę patrzali w Biernackiego, nie porywając się na przeczenie tej »tęgiej głowie«. Tym sposobem głos jego rozbrzmiewał już solo z mocną intonacją zadowolenia, jakie daje przeświadczenie i wygranej i własnej wyższości.

C. d. n.

W. Dalecka.

O niewolnictwie starożytnem.

Szkic socjologiczny.

I.

Barbarzyńcy uważają pracę za ciężar i biorą się do niej dopiero pod biczem srogiego pana; to też przymus taki jest dla nich konieczną szkołą kulturną«. W ten sposób określa socjologiczne znaczenie niewolnictwa — jeden z młodszych historyków niemieckich, Otton Seeck, w dziele *Der Untergang der antiken Welt* (1895). Zapatrywanie to, stwierdzone pewną liczbą faktów, znajduje, mówiąc językiem filozoficznym Hegla, swoją, również doświadczalnie sprawdzoną antytezę, że dla wielu ludów nieucywilizowanych praca nie jest takim ciężarem, ażeby jedynie przymus mógł ich do niej skłonić. Mamy tedy przed sobą sprzeczność, mianowicie że praca raz jest ciężarem, to znów nim nie jest (w ścisłem tego słowa znaczeniu). Możnaby się pokusić sprzeczność tę rozstrzygnąć spekulatywnie, ale to zaprowadziłoby nas łatwo na manowce »czystego myślenia«, dlatego korzystniej będzie, jeżeli zwrócimy się odrazu na grunt doświadczalny.

Historyczne i współczesne badania społeczeństw nieucywilizowanych wykazują jasno, że barbarzyniec uważa pracę za ciężar — tylko względnie, a nie leni się wówczas, gdy mu chodzi o utrzymanie swego życia, a temsamem i bytu niezróżniczkowanej pierwotnej komuny, do której należy. W wielu razach jest on przedsiębiorczy, żądny ulepszeń i wynalazków; niemniej jednak nie da się zaprzeczyć, że istnieją nieucywilizowane ludy, które emocjonalnie nie są przystosowane do intenzywnej pracy wytwórczej, ani do życia osiadłego. Ta większa lub mniejsza żywość fizyczna i umysłowa barbarzyńców zależną jest wprost od przyrody, mianowicie od warunków terytorjalno-geograficznych i antropologiczno-etnicznych.

Zdanie p. Seecka, że barbarzyńcy pracować nigdy nie chcą, jest prawdziwem tylko dla niektórych ludów nieucywilizowanych, przy czem fakty stwierdzają, że małe przystosowanie do pracy, jako zjawisko przyrodnicze nie da się zmienić nawet »pod biczem srogiego pana«. Przekonano się o tem najjaśniej w Ameryce i dlatego zaczęli plantatorowie na miejsce słabych fizycznie czerwonoskórców sprowadzać afrykańskich murzynów, którzy się znakomicie do ciężkiej pracy na roli nadali.

Czy jednakże silni fizycznie barbarzyńcy nigdy nie uważają pracy za ciężar? Owszem! ale wówczas, jeśli praca ta jest przymusową, obliczoną na obcą korzyść. Do takiej pracy musieli zawsze i muszą być po dziś dzień barbarzyńcy zmuszani batem; nie jest to jednak wcale jakąś specyficzną cechą ludów nieucywilizowanych, ale powtarza się wszędzie i zawsze, bez względu na stopnie rozwoju kulturnego. Niewolnik barbarzyński, pracujący dla pana swego pod grozą bata i wolny najmita cywilizowany, robiący to samo pod grozą śmierci głodowej — różnią się od siebie w tym względzie tylko formalnie. Dla jednego i drugiego jest taka praca zarówno ciężarem. Wogóle pojęcia pracy i nawet prawa do pracy nie są zawsze tak bezwzględnie jednolite, ani też postępowe, jak się to dzisiaj często popularnie mówi, przeciwnie — trzeba zawsze zważać na rodzaj pracy, inaczej zaś można łatwo dojść do zapatrywań, w tym kierunku tak mylnych, że słusznie wyśmiał je Paweł Lafargue w broszurze p. t. »Prawo na lenistwa«.

Dla rozwiniętych fizycznie barbarzyńców praca dla siebie i komuny plemiennej nie jest nigdy ciężarem; nie jest bez kwestji także rozrywką w ścisłem tego słowa znaczeniu, ale czynnością życiową, której się podejmują bez »bicza pańskiego«. *Mutatis mutandis* powtarza się to samo wśród ludów ucywilizowanych; tak tedy metodą pozytywną rozwiązujemy bez trudu sprzeczność, powyż spekulatywnie wyrażoną, że praca jest ciężarem i nim nie jest. Są to — mówiąc językiem filozoficznym Kanta i następców jakościowe kategorje myślenia.

Tylko z takiego punktu widzenia wolno nam twierdzić, że praca była ciężarem dla tych wszystkich barbarzyńców, którzy pod grozą bicza i śmierci pracowali jako niewolnicy dla swych panów w starożytności, a do niedawna jeszcze w Ameryce dla osławionych plantatorów. Mając to zawsze na względzie, łatwo zrozumiemy różnicę, jaka zachodzi między »pracą«, uważaną wogóle za czynnik ekonomiczny, a tym specjalnym gatunkiem pracy, który nazywa się pracą niewolniczą. O pracy wogóle nie tutaj miejsce mówić, nas obchodzić będzie tylko praca niewolnicza i wykonawcy jej, tj. niewolnicy. Nie mam także zamiaru mówić o niewolnictwie we

wszystkich jego przejawach, ale specjalnie o tem, jakie znaczenie ma starożytne niewolnictwo dla społeczno ekonomicznego i kulturnego postępu ludzkości.

II.

»Niewolnikiem jest człowiek, który nie posiada własnej wolnej woli« — tak określali niektórzy prawnicy rzymscy pojęcie niewolnictwa. Określenie to nie jest ścisłem ani dla nas, ani nawet z punktu widzenia wielu szkół filozoficznych starożytnych, tych mianowicie, które wolną wolę ludzką mniej lub więcej kwestjonowały. Słynny atomista, Demokryt z Abdery, głosił już około r. 490 przed Chr., że wolna wola ludzka zależy bezwzględnie od »konieczności«, której podlegają wszystkie prawa przyrody. Tak samo patrzył na świat Epikur z uczniami i naśladowcami swymi, a Arystoteles, który przyjmował istnienie bóstwa, rozumiał przecież, że bóstwo to ruszyło tylko świat i że od tego czasu ruch ten odbywa się zawsze i wszędzie w rozmaitych swych objawach niezmiennie, że więc i wola ludzka niezmienności tej podlega. Wolność woli ludzkiej w znaczeniu wolności wyboru przyjmowali: Platon, jego następcy w filozofji, po części zaś także stoicy; w każdym jednak razie i dla nich kwestja ta dogmatem nie była.

Negując tedy lub uszczuplając pojęcie wolnej woli ludzkiej wogóle, nie mógł świat starożytny inteligentny uważać niewolników za osobny gatunek ludzi, nie posiadających wolnej woli. Dla kodeksów prawnych, mających przeznaczenie praktyczne, określenie takie wystarczało; ściśli myśliciele nie zadowalali się niem i szli raczej za zdaniem Arystotelesa, że niewolnicy są to ludzie mniej rozwinięci fizycznie i umysłowo, których zatem sama przyroda skazała na to, że muszą pracować dla wyższego gatunku ludzi, tj. dla cywilizowanych obywateli greckich i rzymskich. Wyraz »barbarzyniec« oznaczał w starożytności nietylko własności społeczne i kulturne, ale także przyrodnicze. Dziwić się starożytności nie mamy powodu; przecież domowa wojna amerykańska wykazała, że plantator XIX. w. filozofował zupełnie tak samo. Twierdzono mianowicie, że niewolnik murzyński jest przyrodniczo od praw wolnego obywatela Stanów Zjednocz. wykluczony; powoływano się na rasowość; antropologję i etnologję zaprzągnięto do rydwanu interesu klasowego, politycznego, podobnie, jak to obecnie jeszcze robią antysemici.

Niema kwestji, że znamiona (atrybuty) antropologiczno-etniczne odgrywają pierwszorzędną rolę w rozwoju życia społecznego, ale wcale nie taką, jaką im podsuwano w starożytności w stosunku do niewolników, ani też nie taką, jaką aplikowano do amerykańskich negrów lub europejskich żydów. Ani dzisiejsi żydzi, ani amerykańscy murzyni nie są przyrodniczo od człowieczeństwa wykluczeni, a w starożytności — mimo teorji Arystotelesa — rozwinął się z niewolników i wyzwoleńców — mówiąc słowami Seecka »ruchliwy lud ateński, którego arcypiękne dzieła sztuki dziś jeszcze z podziwem oglądamy«.

Czyż więc wobec tego wszystkiego nie należy niewolnictwa starożytnego napiętnować jako społecznej zbrodni, jako brutalnego wyrazu siły przed prawem? Ze stanowiska dzisiejszej etyki — jużcić! ale nie ze stanowiska socjologicznego. Wychodząc *a priori* tylko z etycznych przesłanek, możnaby całą socjologję wkrótce doprowadzić do tego, że stałaby się zbiorem kazań moralnych dla ludzi, żyjących w poszczególnych okresach rozwojowych, a gdy ponadto zważymy, że dzisiaj jeszcze etyka nie jest jednolitą i bezstronną, to kazania socjologiczne musiałyby koniecznie nosić na sobie także wyraźne piętno poglądów indywidualnych lub klasowych. Tak jednak nie jest. Socjologja na dobrej znajduje się drodze, aby stać się umiejętnością samoistną, mającą na celu wykrywanie praw ewolucji życia społecznego ludzi, a więc stosunków jednostki do grupy i grup między sobą. Niewolnictwo, jako ogólny, wszędzie prawie powtarzający się objaw życia społecznego, wygląda już temsamem, jakby jakieś prawo socjologiczne, lub też może część składowa takiegoż prawa, ale gdyby nawet tak nie było, to obowiązkiem socjologa jest przekonać się o tem, analizując ten objaw podobnie, jak każdy inny z zakresu ewolucji społecznej. Analiza taka musi naturalnie oprzeć się na faktach i zapytać się ich, jakie są przyczyny wytwarzania się niewolnictwa, jak się ono stopniowo rozwijało, jak i kiedy wreszcie doszło do rozkwitu, jak zostało przez współczesnych ze stanowiska prawno-społecznego najściślej określone i ostatecznie, dlaczego upadło, względnie zmodyfikowało się.

(D. c. n.). *Dr K. J. G.*

Rozbiory i sprawozdania.

(Aleksander Kraushar: Frank i Frankiści polscy 1726—1816. Monografia historyczna, osnuta na źródłach archiwalnych i rękopiśmiennych (2 tomy. Kraków 1895 r.)

A. Kraushar, autor (obok wielu innych rozpraw) „historji Żydów w Polsce“, dodał obecnie przez napisanie monografji o Frankistach, ciekawy i ważny do tejże „historji“ — przyczynek.

Poprzedników na tem polu miał — mało. Z przedmowy dowiadujemy się, że pierwszym, który pokusił się o napisanie historji Frankistów był Niemiec — Julius br. v. Brinken (1845), a chociaż rozprawka jego — ogłoszona w formie powieści nie wyszła drukiem w całości i nosiła na sobie aż nadto wyraźne piętno dyletantyzmu naukowego — przecież, w braku czegoś le-

pszego, stała się głównem źródłem dla rozpraw późniejszych, jak Adrjana Krzyżanowskiego „Dziejowość antytalmudystów polskich“, ks. Hieronima Kajsiewicza — dodatek do przekładu dra Seppe'a „Żywotów pseudo messyaszów żydowskich“ i J. Bartoszewicza — artykuł w encyklopedji Olgerbranda. Więcej źródłowo-krytyczną jest rozprawka Hipolita Skimborowicza z r. 1866 p. t. „Żywot, skon i nauka Jakóba Józefa Franka“, do której dołączył wyrywki ze źródła rękopiśmiennego, opatrzonego dowolnym tytułem „biblii bałamutnej“ — Ponieważ p. Skimborowicz nie podał dokładnie, skąd to źródło dostał — otóż „biblia“ jego stała się sama przez się źródłem dla następnych — po nim — historyków Frankizmu, tylko Theiner w IV. tomie „Monum Pol. et Lith“ umieścił dosłownie źródło nowe tj. — relacje nuncjusza ks. Secza, biskupa mityleńskiego, w latach 1759 i 1760 do Rzymu o Frankach i Frankistach wysłane.

Autor „Historyi Żydów“, Graety, podał wiadomość o innych jeszcze źródłach archiwalnych i rękopiśmiennych, odnoszących się do Frankistów, ale jego opis tego ruchu reformatorsko-wyznaniowego jest tendencyjnie przesadny na niekorzyść reformatorów; p. Kraushar dotarłszy szczęśliwie do „biblii“ Skimborowicza i do innych przedtem mało znanych źródeł — podaje nam na ich podstawie — rozprawę, którą omawiamy.

Krótka treść jest następująca:

Wśród pseudo mesjaszów żydowskich, zyskał wielu zwolenników na Wschodzie Sabbatej Cwi z Smyrny — prześladowany przez rząd turecki, więziony, pozornie skutkiem tego zislamizowany, lecz mimo to zawsze przez swych uczniów za proroka uznawany. Zmarł on w r. 1676, ale nauka jego — opierająca się głównie na kabalistycznej księdze „Zoar“ szerzyła się dalej i zyskała wielu zwolenników w Europie, osobliwie wśród żydów polskich, przerażonych prześladowaniami Chmielnickiego i jego kozackich następców. Rozpoczęły się po synagogach zawiłe dysputy teozoficzne, krążyły świstki kabalistyczne, dostarczane z Turcji, wielu udawało się do Smyrny — jako do źródła Sabbataizmu, a wśród ostatnich znalazł się także przyszły „patrjarcha“ — Frank.

Urodził się on w roku 1726 we wsi galicyjskiej Korolówce z ojca Lejby — rabina i matki Racheli. Wychowywał się w Czerniowcach i odznaczał się od dzieciństwa usposobieniem przedsiębiorczem, awanturniczem, przyczem wcześnie już zaczął drwić sobie z obrzędów orthodoksyjnego judaizmu. Rodzice przeznaczyli go do zawodu kupieckiego, ale kiedy handel zapędził młodego Franka do Smyrny, wówczas wszedł tu w stosunki z „mędrcami“ Sabbataizmu i z innymi sekciarzami żydowskimi, którzy starali się gorliwie o pozyskanie ruchliwego i intelektualnie rozbudzonego młodzieńca. Dopuszczony do tajemnic okręgowych sekciarskich — przylgnął Frank do myśli reformowania wiary żydowskiej i chociaż w r. 1752 ożenił się z piękną Chaną, córką kupca Tobiasza z Nicopolis — to jednak nie ograniczył się na życiu familijnem, lecz rozłączywszy się na pewien czas z młodą żoną — udał się na wędrówkę po różnych ogniskach żydowskich tureckich i osiadłszy wreszcie w Smyrnie, zyskał tam sławę „mędrca“, do którego zgłaszali się po radę i naukę przybysza z Polski.

Kto skłonił Franka do powrotu do Polski — tego z monografji p. Kraushara — nie wiemy. Frank powoływał się później na wizje, w których Eljasz i Chrystus kazali mu wystąpić w roli reformatora Żydów polskich. Prędzej — rozumie się — możnaby posądzić o to jego smyrneńskich współsekciarzy, ale i to przypuszczenie nie wystarcza, bo sekciarze ci nie zrywali bądź co bądź z judaizmem, a Frank przeciwnie bardzo wcześnie zaczął już głosić naukę o św. Trójcy, cytować słowa Jezusa i szerzyć kult „panny“. Sam Frank później zeznał przed sądem duchownym, że nauki te zmierzały od początku do pozyskania żydów dla katolicyzmu, a chronologja wędrówek apostolskich „patrjarchy“ — zeznanie to potwierdza.

Oto 5. grudnia 1755 przybył Frank z Smyrny do Polski i zyskawszy 12 zwolenników — odrazu wystąpił przeciw talmudowi i rozpoczął spory z rabinami. Z tego powodu zwolennicy jego przybrali nazwę „antytalmudystów“, doczekali się prześladowań ze strony synagog, sam Frank został uwięziony w Kopyczyńcach i wówczas już tj. w kwietniu r. 1756 oświadczył głośno: „Pójdę do religji chrześcijańskiej i dwunastu ze mną“. Za takie wyznanie zyskał pomoc proboszcza Szczepankiewicza i wyszedł z więzienia. Mając te fakty na względzie, nie można się oprzeć nasuwającemu się łatwo wnioskowi, że Frank przybył rzeczywiście z Turcji do Polski, aby propagować chrystjanizm wśród Żydów. P. Kraushar wniosku takiego nie robi i wskazuje na inne fakty, z których wynika, że Frank ociągał się długo z przyjęciem chrztu, że nawet na krótki czas dla własnego bezpieczeństwa wobec talmudystów przyjął islam. Wszystko to wniosku naszego nie osłabia, ale dowodzi, że Frank — tak jak się ostatecznie stało, dążył do przyjęcia chrztu nie sam z kilku towarzyszami, ale z całą masą stronników, których nauka jego musiała prędzej czy później poklócić stanowczo z talmudystami. W czasie kiedy „prorok“ siedział w Giurgiewie i jako islamita miał zawarowaną pomoc od władz tureckich — zwolennicy jego z umysłu dążyli do otwartej dysputy z talmudystami, którzy ich z synagog wyklęli. Taka dysputa odbyła się w r. 1757 w Kamieńcu podolskim i co ciekawsze, kontratalmudyści udali się zaraz z początku pod opiekę biskupa Mikołaja Dębowskiego, który się wcale tolerancją wobec Żydów nie odznaczał. Dysputa doprowadziła do stanowczego rozłamu kontrtalmudystów od talmudystów, przezco pierwsi — wzięci otwarcie pod protekcję biskupa, zbliżyli się stanowczo do katolicyzmu. Zważywszy teraz, że Frank już w r. 1756 otwarcie wyznał, że dąży do przyjęcia chrztu, że najzaufańsi jego stronnicy sami dysputę wywołali, i szukali protekcji kleru katolickiego — nie możemy inaczej wnioskować, jak tylko, że były to wszystko nader sprytnie obmyślane sposoby, ażeby kontratalmudystów „do wiary chrześcijańskiej doprowadzić“. Pozorny islamizm Franka, którego wkrótce się wyparł — wnioskowi temu również nie sprzeciwia się, a popiera go bardzo mowa jednego z kontratalmudystów — w której uznał się otwarcie zwolennikiem papizmu.

(Dok. nast.).

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.